

CÓRKA ŻEBRACZKI.

Romans kryminalny.

Z FRANCUSKIEGO PRZEŁOŻYŁ J. R.

9

(Ciąg dalszy).

— Prawda nie jest przesadą. Chrześcijańska miłość bliźniego dała pani siłę do zrobienia tego, co pani zrobiła dla mnie w ostatniej godzinie. Bo przecież to, że jeszcze żyję, to tylko pani mam do zawdzięczenia.

— Pan żyje, bo takie było przeznaczenie i zrządzenie Opatrzności — odparła — a ja byłam tylko narzędziem w ręku Boga.

Chory zamknął znowu powieki. Zdawało się, że go sen na nowo ogarnia. Pani Bernere patrzyła nań przez chwilę i potrząsała głową.

— Albo on się sam łudzi, albo też mnie chce oszukać — rzekła półgłosem.

Bładość jego lic, głęboko zapadłe oczy, nerwowe drgawki, przebiegające co chwila po jego twarzy, pot, występujący na czoło nie zdawały się wróżyć mu rychłego do zdrowia powrotu.

Wkrótce twarz jego znów pokryła się chorobliwym rumieńcem, a po chwili znużone powieki zamknęły się. Poruszył wargami. Pani Bernere podała mu limoniady. Był tak osłabiony, że musiała mu pomóc, aby się podniósł trochę.

— Boli okropnie — szepnął, wskazując na głowę.

Zaczęła mu znowu robić zimne okłady, gdyż nic innego nie umiała.

— Tam wisi moje palto — rzekł chory po chwili — w kieszeni jest tam list w wielkiej kopercie. Moja pani, może mi go pani poda.

Wykonała polecenie; przyniosła wielką, trzema pieczęciami opatrzoną kopertę i położyła ją na łóżku.

— Tu jest zawarta tajemnica mojego życia — rzekł chory, kładąc drżącą rękę na kopercie. — Zabrałem to pismo ze sobą, gdy mśedł odebrać sobie życie, bo myślałem, że przecież kiedyś tak czy tak znajdą moje zwłoki i że wtedy treść tego pisma dojdzie do wiadomości władz. Tymczasem stało się inaczej — całkiem inaczej.

— Pewnie się pan rozmyślił i nie chcesz już, ażeby ten list dostał się w obce ręce.

Zapytany milczał przez chwilę, poczem rzekł: — Chciałbym to pismo oddać teraz do rąk pani, z prośbą, aby je pani po mojej śmierci oddała prokuratorowi państwa.

— Prokuratorowi? — zapytała zdziwiona,

— Tak jest — odrzekł chory. — Chodzi tu o pewien rodzaj pokuty — dodał wyjaśniając — a ponieważ przysięga, jaką się związałem, nie pozwala mi mówić za życia, więc chciałem, ażeby tajemnica wyszła na jaw po mojej śmierci.

Podał kopertę pani Bernere, prosząc, ażeby ją przechowała na razie w swym pokoju. Potem ujął jej rękę i rzekł serdecznie:

— Wierzę mocno w dobroć pani i spodziewam się, że pani po mojej śmierci, jak tylko zawrę powieki, uda się zaraz z tą kopertą do prokuratorii. Jeśliby pani tego nie zrobiła, to ściagnie pani na siebie odpowiedzialność przed Wszechwiedzącym i stanie się pani winną tego, że o pomstę do nieba wołająca krzywda nie zostanie nagrodzona.

— Stanie się, jak pan chcesz — zapewniała pani Bernere, odchodząc z kopertą do swego pokoju.

Gdy zmierzch zapadał, stan chorego zaczął się pogarszać. Pomimo to jednak chory stał opierał się sprowadzeniu lekarza, twierdząc, że koniec jego jest już niedaleki i że żadna pomoc na nic się nie przyda.

— Może panu zawołać księdza? — spytała.

Chory nic nie odpowiedział, ale przy słowie „księdza“ twarz jego naraz się ożywiła.

— To myśl — szepnął — wielka, wspaniała myśl!

— Pan sobie czego życzy? — spytała, nie rozumiejąc jego słów.

— Naprzed wody. — Tak. — A teraz niech tu pani siądzie, tu, obok mnie.

Usiadła.

— Pragnąłbym, aby ksiądz tu przyszedł, ale w pewnym szczególnym celu — rozpoczął. — Powiem pani prosto i bez ogródek, jaka mi nagle myśl przyszła do głowy. Jeżeli ten ksiądz przyjdzie, to musi połączyć nasze ręce i mocą swego urzędu dać nam ślub.

Pani Bernere cofnęła się przerażona.

— Gorączkuje! — wyrwało się z jej ust.

— To nie gorączka, dobra kobieto, nie; to, co pani słyszała, to były słowa, wypowiedziane z rozumą i namysłem. Powtarzam pani: Jest moim najszerszym życzeniem połączyć się z panią w ostatniej godzinie mego życia kościelnym ślubem.

— W jakimże celu?

— Proszę, niech pani słucha dalej; jak już pani powiedziałem, jestem sam jeden na świecie, a przynajmniej nie znam nikogo, kogo mógłbym uczynić moim spadkobiercą. Majątek mój wynosi około ćwierć miliona franków. Wszystko to przeszłoby na własność rządu, gdyby pani nie zgodziła się na mój plan.

Wziął jej rękę w swoją dłoń i mówił dalej:

— Nie chodzi tu przecie o faktyczne zawarcie małżeństwa; na to nasza znajomość jest zbyt świeża i niedawna. Akt ślubny ma być tylko wypełnieniem prawnej formalności. Po ślubie bowiem będzie pani mogła, jako moja żona, odziedziczyć cały mój majątek.

Uczuła, że jej się słabo robi.

Czyż to możliwe, aby ona, żebraczka, zmuszona iść od drzwi do drzwi i żebrac, aby jeno móżdżyć, naraz stała się spadkobierczynią ćwierćmiliona franków, by z najgorszej nędzy przeszła nagle do kolosalnych dostatków?

Myśl ta była tak wielka, tak potężna, że jej prawie maciła zmysły.

— Majątek to uczciwie zapracowany — zaczął chory na nowo — i może go pani przyjąć odemnie ze spokojnem sercem; niema na tych pieniądzach ani kłatw, ani złorzeczeń, ani łez, wyciśniętych przez krzywdę.

— Ale to przecie niemożliwe, aby pan ten majątek olbrzymi chciał oddać mnie, kobiecie obcej, nieznannej panu.

Chory spojrzał na nią dziwnym wzrokiem.

— Osobiście, cieleśnie, jesteś pani dla mnie obcą; jednak los uczynił panią bardzo bliską memu sercu i zdaje mi się, że od dawnych, niepamiętnych czasów wiążą dusze nasze węzły, jakie tylko miłość lub przyjaźń albo pokrewieństwo zadzierzgnąć zdołają.

Znużony opadł na poduszki i zamknął oczy. Wkrótce jednak odzyskał siły, otworzył oczy i rzekł:

— Jakże, namyśliła się pani? Zgadza się pani?!

Kobieta oddychała ciężko; nieopisane jakieś uczucie ścisnęło jej gardło, tak, że nie mogła od razu odpowiedzieć.

Dopiero po chwili rzekła:

— oCzy to tak nagła sprawa? Zdaje mi się, że będzie najlepiej odłożyć stanowcze postanowienie choćby do jutra.

Chory potrząsł głową przecząco.

— Siły mnie coraz bardziej opuszczają. Ja to czuję — rzekł — jutro mogłoby już być zapóźno.

Pani Bernere widziała, jak jego oczy, pełne oczekiwania, zawisły na jej ustach; nie namyślając się więc długo, nie tyle dla własnego interesu, ile dla jego uspokojenia, odrzekła:

— A więc — niech się tak stanie w imię Boże!

Chory chwycił jej rękę i podniósł do swego głośno bijącego serca.

— Niech ci Bóg zapłaci za te słowa, moja ty — kochana żono!

Łzy zabłyśły w jego oczach.

Pani Bernere była również wzruszoną do głębi. Uścisnęła więc serdecznie jego rękę. Bo przecież to była ręka, którą ku niej wyciągnięto, aby ją z żebraczki uczynić możną, bogatą panią.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do pokoju weszła stara, porządnie ubrana kobieta.

— O, jest i moja dobra Marta, moja wierna opiekunka — zawołał żywo chory.

— Pan chory, cóż panu brakuje? — rzekła stara, podchodząc ku niemu.

— Zdrowemu brakuje bardzo wiele, choremu tylko jednego, to jest zdrowia. Oto moja odpowiedź — rzekł i dodał zaraz — a teraz, dobra moja Marto, pobiegij do wsi, do księdza proboszcza, pozdrów go odemnie i poproś, ażeby tu zaraz przyszedł.

— Czy rzeczywiście z panem tak źle?

— Tak, Marto, już tak źle; idź a pospiesz się, bo noc niedaleko!

Staruszka wyszła z pokoju.

— Stąd do wsi jest kawałek drogi — rzekł Fryderyk — i jeżeli dobrze pójdzie, to za półtorej godziny może tu nadejść proboszcz.

Ściemniło się. Pani Bernere zapaliła światło; spuściła story u okien i wezwana przez chorego, usiadła znowu przy jego łóżku.

— Ponieważ zgodziłaś się zostać moją żoną — zaczął po krótkim namyśle — uważam więc za stosowne, a nawet za mój obowiązek, opowiedzieć ci

nieco o mojej przeszłości. Życie moje było bardzo burzliwe i brakłoby mi i czasu i siły, gdybym ci je chciał ze wszystkimi szczegółami opowiedzieć. Musisz się więc zadowolnić kilkoma rysami, które ci podam.

Moi rodzice byli dosyć bogaci; mieli ładne gospodarstwo, posyłałi mnie do szkół i chcieli, abym został profesorem; ponieważ jednak nie miałem wielkiej ochoty grzebać w książkach, więc oddali mnie do szkoły rolniczej. To odpowiadało w zupełności memu usposobieniu. Lubiłem bowiem uprawiać rolę, zajmować się ogrodnictwem, polować, łowić ryby i hodować bydło.

Jako dwudziestotrzechletni młodzieniec objąłem pierwszą moją posadę pomocnika rządcy w jednym z większych dóbr, gdzie byłem przez kilka lat. Tam to obudziła się w mem sercu pierwsza, czy sta, cicha ale głęboka miłość do córki jednego z urzędników w gospodarstwie. Była to miłość platoniczna w całym tego słowa znaczeniu. Nikt nie wiedział, że kocham, nawet ta, do której się w cichych godzinach błogiej szczęśliwości modliłem, nawet ona, przedmiot mojej miłości o tem nie wiedziała, nie przeczuwała nawet, jak ja ją gorąco kochałem.

Nareszcie nadszedł dzień, w którym, pokonawszy nieśmiałość i trwogę, a korzystając z nadarżającej się sposobności, wyznałem jej moją miłość.

Wysłuchiwała mnie spokojnie i oświadczyła mi w końcu, że serce jej już nie jest wolne, że jest już prawie zaręczona.

Mimo to nie poddawałem się rozpaczy. Żyłem ciągle nadzieją, że jednak ona będzie moją żoną, aż ją ujrzałem z moim rywalem u ołtarza, przy ślubie.

Chociaż ślub, jako oddawna planowany, nie mógł mnie niespodzianie zaskoczyć, nie był czemś nieoczekiwanem, to jednak uczułem, wychodząc z kościoła, że jestem zupełnie zdruzgotany. Ślub jej z innym rozwał moje najcudniejsze sny i w duszy ciemność rozpostarł.

Zaraz po ich ślubie uciekłem stamtąd i błąkałem się bez celu po świecie. Trwało to dopóty, dopóki się nie rozszły pieniądze, jakie miałem. Ostatecznie bieda zmusiła mnie do szukania chleba. Szczęście mi sprzyjało, dostałem posadę jako pomocnik rządcy na jednym z większych folwarków.

Któż odmaluje moje zdziwienie, kiedy w moim bezpośrednim przełożonym poznałem człowieka, który mię niegdyś tak niekończące nieszczęśliwym uczynił, który wziął za żonę dziewczynę, ukochaną przeze mnie pierwszą potężną miłością młodzieńczego serca.

Jakem tylko spojrzał na niego, w sercu mojem obudziła się nagle żądza zemsty, która, jak ogień piekielny, opanowała wkrótce całą moją istotę.

Pani Bernere, która tego wszystkiego słuchała z coraz większą uwagą, zerwała się nagle z krzesła. Purpurowa czerwień okryła jej policzki, w oczach jej gorzał ogień.

— Nazwisko rządcy — nazwisko! — wybuchła. Chory spojrzał na nią surowym wzrokiem.

— Postanowiłem żadnych nazwisk nie wymieniać.

— Ale nazwisko rządcy mi wymienisz!

— Dlaczego?

— Twoja historia przypomina mi zupełnie podobne zdarzenie, w którym i ja byłam interesowaną.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi i na progu stanął wysoki mężczyzna w długim płaszczu i z szerokim kapeluszem w ręku. Włosy miał już dość gęsto pokryte siwizną, twarz ozdabiała długa, również siwiejąca już broda, a pod krzaczastymi brwiami gorzało dwoje ruchliwych oczu. Pani Bernere podeszła ku niemu.

— Czego pan sobie życzy?

— Chciałbym pomówić z panem Fryderykiem Hohlfeldem.

— Z Fryderykiem Hohlfeld? — powtórzyła zdziwiona.

— To ja jestem — ozwał się chory. — Ja się nazywam Fryderyk Hohlfeld.

Nieznamy zbliżył się do łóżka.

— Chciałbym z panem pomówić sam na sam, w cztery oczy — rzekł, rzucając okiem na panią Bernere, która stała jak oszołomiona. Zrozumiała ten wzrok i cicho wyszła z pokoju.

Gdy drzwi się za nią zamknęły, nieznamy zwrócił się do chorego.

— Pan mnie już nie poznaje? — zapytał stłumionym głosem.

— Wyznam otwarcie, że nie.

— Jestem hrabia Mironeau. Dużo czasu minęło, jakeśmy się nie widzieli, całych piętnaście lat; nie dziwnego, żeśmy się obydwa zmienili do niepoznania.